



Nr. 44.

30-go Października

1913.

## KRAWIECKA ODWAGA.

Niezmierznie rzadko się zdarza spotkać krawca, któryby z powierzchowności wyglądał na siłacza. Majster krawiecki Zaręba był takim wyjątkiem; na pierwszy rzut oka zdawało się, że albo natura się pomyliła, obdarzając go takimi kształtami, albo też on sam, wybierając sobie zawód krawca. Postawa Herkulesa, mięśnie siłacza, a do tego twarz prawdziwie rycerska, którejby się żaden oficer nie powstydział. Niktby nie przypuścił na widok tak imponującej postaci, że się pod nią spokojny ukrywa krawczyzna. Stężnie nazywamy pana Zarębę spokojnym krawcem, gdyż miał on rzeczywiście usposobienie niezwykle spokojne i zupełnie nie licujące z powierzchownością i całem jego wzięciem. A jednak nie chciał darować darów przyrody. Natura wyposażyła go na siłacza, chciał więc zażywać chwały wielkiego atlety. Nie każdemu przyszłoby to z taką łatwością; nie każdy bowiem wygląda już z daleka na zwycięskiego pogromcę i boksera. Faktycznie pan Zaręba chciał gwałtem uchodzić za wielce niebezpiecznego szermierza; w rzeczywistości zaś na punkcie męstwa i siły mógł rywalizować z każdym barankiem. Opowiadał np., że pół świata zwiedził, że wszędzie spotykały go przygody najbardziej karkołomne i że wszystkich wychodził zwycięsko, dzięki niezwyklej swej sile. W Paryżu wystąpił jako szermierz konkursowy; wszystkich swoich przeciwników, jednego po drugim, pokonał, aż wreszcie zdobył godność „mistrza” najprzód w Paryżu, a potem w całej Francji. Następnie udał się do Anglii, ojczyzny amatorów biesztuku, którzy przez cały świat uznani są za najlepszych siłaczy i bokserów. Z początku nie bardzo mu się wiodło i ciężkie musiał przechodzić próby; ale nabywszy przez ćwiczenie należytej sprawności, i tu wielkie święcił tryumfy i ostatecznie został uwieńczony najwyższymi oznakami.

„Ha, boksowanie...”, aż mu się oczy iskrzyły, opowiadając — nawet londyńscy zapaśnicy nie śmieli w jego obecności zakasać rękawów! Cóż za szkoda, że jego znajomi i przyjaciele nie byli naoczniymi świadkami ówczesnych jego tryumfów; ale gdyby tak który z obecnych współtowarzyszy od kufelka

miał ochotę się spróbować... — tu zwykle z wyzywającą miną spoglądał dokoła i zaciśniętą pięścią wymachiwał w powietrzu. Ale widocznie nikt nie miał ochoty „naocznie się przekonać” kosztem własnych, niechybnie połamanych kości i bolesnych guzów. Każdy uważał, że bezpieczniej jest wierzyć na słowo i podziwiać pana majstra i jego bohaterskie czyny. Co więcej, dano mu przydomek „Karola - Siłacza”. Pan Zaręba także był z tego zadowolony, i każdy usilnie się starał, aby mu nigdy nie dać okazji do popisania się z tak niebezpiecznym kunsztem — tak dalece, że nikt np. nie śmiał zbyt długo korzystać z kredytu u Zaręby i każde ubranie najdalej w dwa tygodnie miał już zapłacone.

Karol - Siłacz chętnie godził się ze swoim przydomkiem i napawał sławą, do której mu tak bardzo dopomogła jego wcale nie krawiecka powierzchowność.

Nagle z pogodnego nieba spadł piorun i zniweczył błogi spokój jego żywota. Albowiem przyjechał Mr. Porter — Mr. Bob Porter z Londynu. Mister Porter występował we wszystkich pierwszorzędných teatrzykach i cyrkach jako atleta i szermierz i już po trzecim przedstawieniu w całym mieście opowiadano o jego nadzwyczajnych, wprost zdumiewających występach. Wszyscy namawiali pana Karola - Siłacza, żeby wreszcie i on zobaczył znakomitego atletę; spodziewali się bowiem, że przed jego siłą i sztuką pan majster będzie musiał uchylić czoła. To go ubodło. Czyżby ów cudzoziemiec, przybłęda — dziś jest, jutro go niema — miał zburzyć gmach jego sławy, z takim trudem wzniesiony? Poszedł tedy na przedstawienie, ażeby okiem znawcy osądzić występy p. Portera.

Przyjaciele z niecierpliwością wyczekiwali jego sądu. Co też powie? czy zgani, czy pochwali? Majster z udaną obojętnością i uśmiechem na ustach — w duszy umierał ze strachu, żeby któremu nie przyszło do głowy namawiać go z lekka na spróbowanie się z Mr. Porterem — wydał stanowczy wyrok na „tak zwanego” szermierza: „To, co on podaje za szlachetną sztukę, jest najpospolitszą, partacką robotą.”

Przyjaciele oniemieli. Więc ich Karol - Siłacz był tak wielki? Nawet sławny londyński szermierz Mr.

Porter nie zdołał mu zaimponować? Zaręba stanął jeszcze o kilka szczebli wyżej w przekonaniu swoich współtowarzyszy.

Zdanie ludzi sławnych nie pozostaje nigdy tajemnicą, nawet gdy chodzi o rzeczy na pozór najmniej ważne. Dlatego też surowy wyrok Karola-Siłacza przechodził z ust do ust. I to byłoby uszło. Ale nieszczęście mieć chciało, że zdanie to doszło i do uszu tak haniebnie skrytykowanego atlety.

Mister Bob Porter pienieł się ze złości. Tu bowiem chodziło nie tylko o jego sławę, ale i o byt. Po kilku dniach ukazało się w gazetach ogłoszenie Portera, zapewniające 100 marek temu, któryby go w walce na pięści zwyciężył.

Zapanowało ogólne poruszenie między przyjaciółmi Karola-Siłacza.

— Sto marek!... Karolu musisz je dostać! Ty, a nikt inny!

Kakol pogardliwie wzruszał ramionami, udawał, że go to nic nie obchodzi. Szlachetny bokser się niecierpliwił i podniósł nagrodę do 300 marek. Przyjaciele coraz bardziej nalegali, a Karol obiecywał, że się namysli. Miał nadzieję, że Porter wyjedzie, zanim on się zgłosi. Wtedy będzie mógł twierdzić, że go się złąkł sławny Anglik.

Porter wściekał się, że pogłoska o jego lichych występach wciąż się po mieście rozchodziła, a jej sprawca, mimo przyrzeczonych 300 marek się nie zgłaszał. Pewnego wieczora z sceny na cały głos oświadczył, że ten, który go szkaluje, jest podłym tchórzem, bo nie śmie mu się na oczy pokazać; ale że on, Porter, zna doskonale tego pana i lada dzień będzie miał zaszczyt przedstawienia się w jego własnym mieszkaniu i na miejscu kilkoma boksami przekona go o swoim talencie i nauczy rozumu.

Słowa te jeszcze tego samego wieczora zostały powtórzone krawcowi i śmiało można powiedzieć, że nie bardzo spokojnie spał tej nocy. Na drugi dzień Karol był jak zbity — zdawało mu się, że przez całą noc tarmosił go Porter. Zasiadł do roboty, ale mu nie szła jakoś. Niechcący wyjrzał oknem na ulicę, aż tu ktoś przechodzi, spogląda w górę... w jego okna... czy to nie... tak, tak, to on! Mr. Porter! To jego figura, jego twarz, jego straszne wąsy!... On tu... z pewnością tu idzie!... Będzie go tłukł i tłukł pięściami, powali go na ziemię, zmiażdży go, zdusi, zrobi z niego coś podobnego do tej kupy gałganów, co tam w kącie leży!

Karol zerwał się z krzesła, stał na środku pokoju i drżał jak liść osiny — ale trzymał łokieć w rękę, jak rycerz po wygranej bitwie.

Nadśłuchuje... na Boga... ciężkie kroki słysząc na schodach! Ktoś się zatrzymał przy drzwiach... dzwoni... krawiec ociera krople zimnego potu z czoła tylko co przykrojonymi spodniami, które miał pod ręką. Słyszy teraz, jak żona drzwi otwiera.

Szalona, ukochanego męża wydaje na pastwę mordercy!

— Czy tu mieszka pan krawiec Zaręba? Mam do niego pilny interes — odzywa się głos.

— Wiem, wiem, co to za pilny interes — jęknął wystraszony Karol. — Ale nie... nie... dam się...

Nie domówiwszy tych słów, wysunął się do drugiego pokoju. Ledwie oddycha... ogląda się dokoła. Nie, i tu nie był bezpieczny. Wtem zablysła mu gwałtowna myśl. Prędko się zdecydował — stukali już do drzwi. Otworzył okno i wskoczył na ulicę.

— Stój! Stój! Ję przecież pana...

— Naturalnie, wiem co chcesz — myśli sobie Zaręba — ale nie dosięgniesz mnie. — I lekko spuścił się na dach od wozowni, pod samem prawie oknem położonej.

Gość zbliża się do okna, zaczyna krzyczeć, wymachiwać rękami tak gwałtownie, że krawiec osunął się na samą krawędź i o mało co nie spadł na bruk.

Przez chwilę zdawało mu się, że prześladowca spuścił się za nim na dach i zaczął wołać o pomoc.

Zebrała się wnet na dole gromada ludzi — wszyscy przypatrywali mu się wśród śmiechów i krzyków.

Nagle zniknął ów człowiek z okna i wnet znalazł się na ulicy, pomiędzy tłumem; dalej krzyczał, dawał różne znaki, chcąc nakłonić krawca do zejścia z dachu.

Wreszcie zdecydował się prześladowany i zeszedł, ale... z drugiej strony wozowni, na podwórze.

Żona jego wyleciała z domu, chcąc powstrzymać męża; ale ten ani chciał słuchać, przeskoczył przez niski płot, pędem przeleciał przez drugie podwórze i bez tchu wypadł na ulicę.

Ale wnet go spostrzegł nieubłagany wróg; puścił się za nim w pogoń wraz z całym tłumem i wszyscy, jak w oblędzie wrzeszczeli: Trzymaj go! Łapaj! — krawiec pędził przed siebie, jak szalony, nareszcie oblany potem wpadł na jakiegoś policyanta.

— Ratuń mię pan! Jestem zgubiony... chcą mię zabić... — wyjąknął.

Policyant wydobyl swój krótki pałasz i zasłaniając nieszczęśliwą ofiarę, zwrócił się do tłumy.

— Stać! Ani kroku naprzód! O co chodzi? — zawołał przedstawiciel siły zbrojnej.

— Boże łaskawy — rzekł napastnik, zbliżając się — czegoż on tak ucieka? Wszak go nikt nie ukrzywdził...

Zaręba nie pozwolił mu dokończyć.

— Panie policyancie! Proszę mu nie wierzyć! Proszę go aresztować, w kajdany okuć! On chce mię na śmierć zaboksować, poprzysiągł moją zgubę!

— Co panu do głowy przyszło? Ja? Z panem miałbym się boksować? Alboż jesteśmy w cyrku na scenie?

— Jeżeli tak, to cóż chcesz ode mnie? — zapytał Karol-Siłacz, czując, że duch w niego wstępuje, tembardziej, że policyant z dobytym pałaszem stał pomiędzy nim a rozwścieczonym atletą.

— Co ja chcę? A cóż można chcieć od krawca? Potrzebuję ubrania i pary eleganckich spodni. Jeden z moich znajomych polecił mi pana i chciałem, żebyś mi pan miarę wziął.

Z niedowierzaniem patrzył Zaręba na słynnego boksera.

— Ale spiesz się pan z robotą... wszystko musi być gotowe w ciągu kilku dni, bo za tydzień muszę być w Wiedniu.

— A więc pan dobrodzieju życzy sobie mieć nowy garnitur? Dlaczegoż pan od tego nie zaczął? — rzekł nieśmiało Zaręba.

— Rób co chcesz z krawcem! — roześmiał się dobroduszenie atleta. — Wszakżeś pan uciekał jak szalony. No, chodź pan i bierz mi pan miarę, bo mi bardzo pilno.

Zaręba trochę wystraszony, trochę uradowany, szedł do domu w najlepszej zgodzie z Mr. Porterem; ale najchętniej byłby nowemu klientowi wziął miarę zaraz na ulicy, tak zupełnie jeszcze nie dowierzał tej zgodzie. Wciąż miał jeszcze na myśli ową kupę gałganów, leżącą pod piecem w jego warsztacie.

cie i widział w duchu, jak Mr. Porter wprawna ręką go tam druzgoce na miazgę. Uspokoił się dopiero, gdy niebezpieczny klient opuścił jego mieszkanie. Zaręba porachował wszystkie swoje kości i członki, znalazł wszystko w porządku i odetchnął. Ale — sława przepadła bezpowrotnie



### U ADWOKATA.

— Czy nie próbowaliście ułożyć się z dłużnikiem?

— Właśnie ja chciałem...

— No i cóż?

— Powiedział mi, żebym poszedł do dyabła.

— A wy co na to?

— Cóż było robić? — wyszedłem i przyszedłem do pana mecenasa.



### PAN GOSPODARZ.

Obywatel domu: Patrz tylko żono, na przeciw nas wprowadził się właśnie ładny, młody człowiek. Jest to powód, aby wszystkim naszym lokatorom, mającym dorosłe córki, podwyższyć komorne.



### BOHATER.

— Więc zeszłej nocy złodzieje zabrali panu wszystko z mieszkania?

— Tak, niestety!

— Ależ słyszałem, żeś pan przecie miał rewolwer nabity pod poduszką?...

— Tego chwala Bogu nie znaleźli...



### NIE ZNA SIĘ.

Żona: Czy mam kapelusz prosto?

Mąż: Jak najprościej!

Żona: To właśnie nie dobrze, bo na lewej stronie musi być w poprzek oka!



### Z TAJNIKÓW INTERESU.

Pomocnik (do pryncypała): Jeden z naszych odbiorców pisze: „Nie rozumiem bezczelności pańskiej, jak możecie taki bezwartościowy środek sprzedawać za 5 mk.“

Pryncypał: To nic! Niech pan wykreśli wyrazy „bezczelności pańskiej“ i „bezwartościowy“, a następnie dołączy ów list do korespondencji dziękczynnych!



### LIST MIŁOSNY.

Ach! żeby tygrys serce ci wygryś, abo hyena! pamiętaj luby, żeś twa Helena!

### RYMY WOJSKOWEGO.

O luba, tyś nie czuła  
Bez żadnej przyczyny,  
Zatapiasz w mem sercu  
Ostre „karabiny“.  
Tyś jest moją „armatą“,  
Bóstwo ukochane,  
Pozwól niech dla ciebie  
Ja „lontem“ zostanę.



### ŚLUSZNIE.

Żona: Lekarze chcąc się przekonać, czy pani Męczyńska umarła, przyłożyli do twarzy lusterko. Praktyki tej nie rozumiem.

Mąż: A widzisz, gdyby żyła, z pewnością otworzyłaby oczy i w lustro spojrzała.



### WSTYDLIWA ZOSIA.

Matka: Więc gdy cię Czesiu całował, to ty ko zamknęłaś oczy?

Zosia: Tak, mam. Nie chciałam być świadkiem jego beczelności.



Pogański bożek wojny Mars: Panie ministrze, Berlin się na twój wniosek nie godzi. Trzymaj język za zębami a nie psuj mi i zwolennikom moim dobrego interesu, przynoszącego nam miliony! Niech lud płaci na zbrojenia!

## PRZESTROGA DLA ŻON KLÓTLIWYCH.

Pani Julia, doktorowa zapędzona trochę w lata, ma młodego jeszcze męża, który wciąż po mieście lata. Pani Julia kocha męża, — ciągle więc ta biegająca do pacjentek, głównie młodych, niepokoić ją zaczyna, — gdy więc w porze obiadowej mąż się spóźni dwie minuty, wymówkami i fochami, cały dzień już ma zatruty.

Tak też było i onegdaj; mąż biedaczek operację jakiejś pani robił trudną, więc się spóźnić — wszak miał rację. A tu żona: hurdu! burdu! — Jakaż jestem nieszczęśliwa! — ja tu w domu siedzieć muszę, a pan mąż sobie używa. Nie! to dłużej trwać nie może, gdy się spóźnisz choć raz jeszcze, gdy zapomnisz o mnie biednej, to cię wezmę w takie kleszcze, że chociażbyś płakał, jęczał i jak aktor grał swą rolę, ja ci z domu na minutę wyjść już nigdy nie pozwolę. Doktor zamilkł, cóż miał robić? — wszak to przecie rzecz jest znana, że języka nikt nie wstrzyma, gdy kobieta rozgadana, — lecz nazajutrz bije pięta, a tu męża ani śladu. — Dla rozrywki, ze sługami, doktorowa gadu, gadu; mija kwadrans jeden, drugi, aż nareszcie pani rzeknie:

— Pan się jakoś dzisiaj spóźnia, — będzie znowu z nim nie pięknie.

Na to sługa:

— Proszę pani, — pan gdy pani trochę spała był tu, rzeczy zapakował, wsiadł w dorożkę co czekała i powiedzieć kazał pani, że nie będzie dziś jadł zupy, bo wyjeżdża na pół roku, aż do jakiejś Gwałdalupy.

—\*—

## DOBRY OBROŃCA.

Adwokat (po skutecznej obronie oskarżonego o kradzież): Bronilem pana, jak własnego syna! Oskarżony: Czy także taki złodziej?

—\*—

## W KARCZMIE.

— Czego wy się tak Bartku krzywicie i spluwacie?

— A to tę bestyę wódkę już trzydzieści lat pije nie mogę się nijak do niej przyzwyczaić.

—\*—

## ZE SPRZECZEK MAŁŻEŃSKICH.

On: Ciągłe tylko mówisz o pieniądzach... Szcześcia nie kupisz za pieniądze.

Ona: Szcześcia — nie... ale kapelusz nowy!

—\*—

## UWAŻAJACY.

— Cóż u licha! Nie zwracasz mi pan 100 koron, a nawet nie spłacasz miesięcznymi ratami po 10 koron, jakieś mi to pan proponował?

— Uważa pan... Myślałem sobie, lżej przyjdzie panu tracić po 10 koron miesięcznie!

## PAN WOJCIECH.

Zawdy z babą je obrotniej  
Niżli kiedy człowiek sam.  
I starunek żwawiej idzie  
I łatwiejszy cały kram.

Ot, kopaliśwa ziemniaki,  
Baba mnie motyką w łeb:  
Ja się pytam: „Bez co Kasiu?”  
A ona mi: „A boś kiep!”

Patrzyta iudzie, nie wiedziołem:  
Tylem w świecie wyżył lot,  
A nie wyznał mi się z owem  
Żaden ani swat ni brat.

Cięgiem z pór tych łeb mnie boli,  
Dobrze rżnęła o ho! ho...  
„Kasiu boli” — rzekłem wcora,  
Ona zasię: „To i co?”

Juści prawda... Insi zara  
Na śmierć procesują się,  
Moja baba nie galopna:  
Tylko raz wyrżnęła mnie.

Zawdy z babą je obrotniej,  
Niżli kiedy człowiek sam,  
I starunek żwawiej idzie  
I łatwiejszy cały kram

—\*—

## CZEGO GEŚ DOSTARCZA.

Nauczyciel: No, Kaziu, co mamy z geś?

Kazio: Pieczeń, wątróbkę i...

Nauczyciel: I...

Kazio: Tłuszcz!

Nauczyciel: Co jeszcze?

Nauczyciel (pomagając): No, cóż macie ebie w łózkach?

Kazio: Pluskwy, panie nauczyciele.

—\*—

## W PRZEDPOKOJU.

Poeta: Czy pan redaktor przyjmuje?

Chłopak: Powiem, jak mi pan da nikła.

Poeta: Dam przy wyjściu.

Chłopak: E, wtedy to pan nie będzie miał czasu.

—\*—

## INSERAT.

Chciałbym się stosownie ożenić, ale tylko z panną młodą, ładną i wysmukłą. Tylko takie proszę o zgłoszenia i fotografię. Wszystkie tłuste i brzydkie wrzucam do kosza.

